

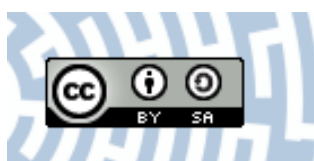


**You have downloaded a document from
RE-BUŚ
repository of the University of Silesia in Katowice**

Title: „Oni szli do lasu, po prostu do lasu...” : zagłada Żydów w KL Auschwitz-Birkenau we wspomnieniach Aliny Dąbrowskiej

Author: Lucyna Sadzikowska

Citation style: Sadzikowska Lucyna. (2017). „Oni szli do lasu, po prostu do lasu...” : zagłada Żydów w KL Auschwitz-Birkenau we wspomnieniach Aliny Dąbrowskiej. W: „Narracje o Zagładzie” (Nr 3, 2017, s. 366-373).



Uznanie autorstwa - Na tych samych warunkach - Licencja ta pozwala na kopiowanie, zmienianie, rozprowadzanie, przedstawianie i wykonywanie utworu tak długo, jak tylko na utwory zależne będzie udzielana taka sama licencja.



UNIwersYTET ŚLĄSKI
W KATOWICACH



Biblioteka
Uniwersytetu Śląskiego



Ministerstwo Nauki
i Szkolnictwa Wyższego

„Oni szli do lasu, po prostu do lasu...” Zagłada Żydów w KL Auschwitz-Birkenau we wspomnieniach Aliny Dąbrowskiej

Urodzona w kwietniu 1923 roku mgr Alina Dąbrowska (wtedy nazywała się Alina Bartoszek) była więźniarką pięciu obozów koncentracyjnych: KL Auschwitz-Birkenau, KL Ravensbrück (przewieziona 23 stycznia 1945 roku), KL Malchow (przewieziona w lutym 1945 roku), KL Buchenwald (przewieziona w marcu 1945 roku), KL Leipzig (przewieziona w kwietniu 1945 roku). Uczestniczyła w dwóch Marszach Śmierci. To jedna z ostatnich żyjących świadków historii. Wspomina, że jako dziecko była bardzo ruchliwa. Dziś jest energiczną, otwartą i gościnną osobą, która przyjęła mnie pod koniec lutego 2017 roku w swoim warszawskim domu. Rozmowa, nagrana na dyktafon, trwała ponad dwie godziny. Wypowiedź Pani Aliny miała charakter monologu, moja rozmówczyni płynną narrację przeplatała dopowiedzeniami i dygresjami. Tematem spotkania były dwie kwestie: Zagłada Żydów i książki w obozie. Opowieść, której fragmenty dotyczące Holokaustu przytaczam dalej, rozpoczęła się od stwierdzenia, że rozmówczyni na ręce ma wytatuowaną całą swoją tożsamość.

Nie byłam nikim więcej jak numerem 44165. Nazywam się Alina Dąbrowska, z domu Bartoszek. Urodziłam się w Białej koło Zgierza 23 kwietnia 1923 roku jako piąte dziecko.

Kiedy przyjechalśmy do Pabianic, ojciec dostał pracę w magistracie, zamieszkaliśmy w magistrackim domu. Skończyłam szkołę podstawową i rozpoczęłam naukę w Gimnazjum im. Królowej Jadwigi. Przed podjęciem nauki w gimnazjum stwierdziłam, że interesuję się językami obcymi, zwłaszcza francuskim, ale ostatecznie wybrałam niemiecki, co do dnia dzisiejszego uważam za ważną decyzję. W Pabianicach była duża mniejszość niemiecka, ponieważ tam były fabryki włókiennicze, między innymi Rudolfa Kindlera. Język niemiecki słyszałam na co dzień. Dlatego chciałam się uczyć języka

francuskiego. Jednak przed samym egzaminem podeszła do mnie kuzynka mojej mamy, przedstawiła mi dziewczynkę – Elę Fabijańską – i powiedziała do mnie: „Alinko, zaopiekuj się nią, ona tu nikogo nie zna”. Bardzo poważnie potraktowałam te słowa. Miałam trzynaście lat. Wyciągnęłam kartkę z językiem francuskim. Moje marzenie spełniło się, ale Ela wyciągnęła niemiecki. Pomyślałam sobie wtedy: jak będę się nią opiekować, gdy będzie w innej klasie? Oddałam kartkę francuską, wzięłam niemiecką. I to okazało się jednym z najważniejszych faktów mojego życia. Niby zwykła rzecz. Uczyłam się bardzo pilnie niemieckiego i kiedy przyszli Niemcy, swobodnie mówiłam w tym języku i na zeznaniu nie musiałam mieć żadnego tłumacza. To było bardzo ważne – umiałam powiedzieć to, co chciałam.

W Pabianicach przed wojną było dużo Żydów. Na naszej ulicy mieszkali chłopcy Moniek i Berek, z którymi się bawiłam. Była też druga rodzina i Sara. W gimnazjum uczyły się żydowskie dziewczyny. Do mojej klasy nie uczęszczała żadna Żydówka. Natomiast moje siostry chodziły do klasy z Żydówkami i muszę podkreślić, że nie było żadnych odczuwalnych różnic. Natomiast jeśli chodzi o męskie gimnazjum, to zdarzały się pewne nieprzyjemne sytuacje. Nie było nastawienia: nie kupuj u Żyda. Ale był niewielki antysemityzm. Dało się zauważyć nacjonalistyczne działania. Pamiętam, że była dzielnica żydowska, przez którą się przechodziło, i mieszkali w niej głównie Żydzi. Takie były moje przedwojenne kontakty z nimi.

W czasie wojny musiałam przechodzić przez zamkniętą dzielnicę żydowską, gdzie było getto. Miałam wszystkie możliwe przepustki, gdyż pracowałam w fabryce zbrojeniowej firmy Lohmann Werke (zakłady odlewniczo-hutnicze), która miała swoją siedzibę w Bielefeld. Właśnie dlatego, że znałam niemiecki, to mnie tam przyjęli. W tej firmie zaczęłam pracować w 1941 roku. Już wtedy byłam w organizacji Szare Szeregi. Wkrótce po rozpoczęciu pracy w Lohmann Werke zaczęłam działać w podziemiu. Mój brat był opiekunem dziewcząt w Szarych Szeregach. Dostałam polecenie, by na matrycy pisać teksty do tajnego nauczania. Pisałam, a razem ze mną w tym samym pokoju była córka szefa Arbeitsamtu, kata młodzieży polskiej.

Pamiętam, że przychodził do nas stary Żyd i moja mama dawała mu jedzenie. Żydzi byli w bardzo trudnej sytuacji.

Kiedy zlikwidowano getto, mnie już w Pabianicach nie było. Już przebywałam w obozie. Przed ewakuacją Żydów zebrano ich na dużym placu. Wśród nich był znany lekarz, który popełnił samobójstwo. Był na tyle świadomy, czym zakończy się zbiórka. Wiedział, gdzie zostaną wysłani, czym zakończy się ich koncentracja: likwidacją.

[...]

W fabryce dostawałam do przepisania teksty dotyczące tego, co robotnicy powinni robić przy poszczególnych przedmiotach. Wyrabiano w niej części do czołgów i innego uzbrojenia.

13 maja 1942 roku przyszedł do mojego biurka dyrektor naczelny Sudeck. Poszłam do jego gabinetu, gdzie już byli tajniacy w cywilnych ubraniach. Jeden Niemiec miał w ręce dokument, który wcześniej napisałam. Zaczął nim potrząsać i pytać, co z nim zrobiłam. Odpowiedziałam, że przepisałam i oddałam naczelnikowi. A on wtedy, że materiał został przepisany i dostał się w niepowołane ręce. Stwierdziłam, że nie mogę za to odpowiadać, bo moja szafka z dokumentami nie miała kluczyka. Ktoś od razu poszedł i sprawdził, że mówię prawdę. Nie przypuszczałam, że ta sprawa spowoduje moje aresztowanie. Przeszukali szafkę. Nie czułam się winna, chociaż poprzedniego dnia udostępniłam dokumenty polskiemu inżynierowi. On mi je oddał następnego dnia, ale co z kopiami zrobił, nie wiem. Tak jak stałam, zaraz po rozmowie, zawieźli mnie do więzienia w Łodzi, gdzie spędziłam trzynaście miesięcy. Byłam na kilku zeznaniach. Dowiedziałam się, że brat też został aresztowany. Podczas ostatniego zeznania podpisałam protokół stwierdzający, że jestem wrogiem państwa i narodu niemieckiego, że popełniłam zbrodnię – oni to określili: *Hochverrat*, czyli zdrada stanu – że muszę być ukarana i że jadę do Auschwitz.

Do obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau wysłano mnie z grupą osiemdziesięciu więźniarek z Łodzi. Nie znałam wszystkich, bo przebywałyśmy w różnych celach. Pierwsze, co ujrzałam z rampy, to psy i ludzie w pasiakach. Wsiadłyśmy z wagonu i poprowadzono nas najpierw do dużego pomieszczenia, gdzie wszystko nam zabrano. Kazano nam podpisać dokument zapewniający, że opuszczając obóz, dostaniemy te same rzeczy z powrotem. Obcięto nam włosy. To nie było dramatyczne. Zrobiono mi numer na lewym przedramieniu – 44165. Dano nam ubranie: koszule i majtki. W tej koszuli pod pachą na szwie były przyklejone wszy, całe rzędy wszy. Niektóre dziewczyny płakały, kiedy obcinano im włosy. Gdy wyszłyśmy na obóz, było już ciemno. Ktoś nas prowadził, lampy świeciły. I poszłyśmy do bloku. Widok wnętrza bloku to był jeden z najsilniejszych wstrząsów mojego życia. Poczułam, że nie jestem na ziemi, że jestem chyba w piekle. Były trzy rzędy pościeli: jeden na ziemi, drugi powyżej i trzeci – najwyżej. To nie było małe pomieszczenie – było duże, ale wszystkie przebywające tam osoby były bardzo ściśnięte, bardzo blisko siebie. Nie wiedziałam, czy to są kobiety, czy nie, bo wszyscy byli bez włosów, w brudnych koszulach, niedomocy, krzyczący. To było kilkaset kobiet. Stałam tak i nie wiedziałam, gdzie jestem. Pomyślałam, że tak musi wyglądać piekło.

Jako „nowa”, czyli *Zugang*, w obozie dostałam miejsce na ziemi – na cegłach. Miałyśmy tylko jeden koc – albo do przykrycia, albo do położenia się na nim. Nie można było stać. Można było siedzieć lub leżeć. Położyłyśmy się we cztery i wtedy dopiero rozpląkałam się, poczułam się opuszczona. To był punkt ostateczny.

Byłam w różnych blokach podczas ponadpółtorarocznego pobytu w obozie Auschwitz-Birkenau.

Przedostatnia moja praca miała miejsce w takim bloku, w którym były i Polki, i Rosjanki. One wszystkie pracowały w tzw. *Effektenkammer*. To była lżejsza praca, bo pracowało się pod dachem. Polegała głównie na spisywaniu ubrań. W każdym razie Niemcom chodziło o to, aby zachować pozory tego, że zabrana przy przyjęciu odzież zostanie zwrócona po opuszczeniu obozu. Niemcy bardzo dbali, żeby jak ktoś oddawał swoje ubrania, podpisał się. Były worki, które wisały na specjalnym drągu, każdy taki worek opisano – co w nim jest i do kogo należy. Przyznam, że przez ten długi czas, kiedy tam przebywałam, nie stwierdziłam, by za kimś wyjeżdżającym do innego obozu wysyłali te rzeczy. Gdy ja w pewnym momencie miałam iść „na transport”, był listopad 1944 roku. Nie wiem, czy ten worek miał za mną jechać, czy nie. Ale chodzi o to, że to była praca pod dachem, spokojna, w określonym czasie. Moim zdaniem praca w *Effektenkammer* należała do lepszych, istniała pewna swoboda. Tam właśnie, w tej atmosferze, Krystyna Żywulska pisała wiersze. Więźniarki organizowały nawet pewne występy recytatorskie. Pamiętam, że przygotowały małe przedstawienie. Ja byłam na tym bloku sztabową. Do obowiązków sztabowej należało przynoszenie jedzenia. Obiady podwożono, ale śniadania i kolacje przynosiłam. Do mnie należało też sprzątanie, wyrzucanie śmieci; to była praca, przy której specjalnie nas nie kontrolowano. Wszystko musiało być zrobione na czas, ale nie było takiej kontroli, że stale ktoś nade mną stał. To dawało duże możliwości. Obok znajdowała się Kanada, czyli magazyn żydowskiej odzieży. Przywozili po spalonych, zgładzonych Żydach, Cyganach i innych więźniach odzież, mnóstwo ubrań. Tam były całe stosy ciuchów. Żydówki – tylko one tam pracowały – segregowały, kompletowały ubrania i rozdzielały na spodnie, spódnice i koszule, które wysyłano do Niemiec, do zbombardowanych miast, spalonych domów, by mieszkańcy mieli odzież. Praca w *Effektenkammer* była o tyle dobra, że nie wymagała wychodzenia na mroź. Warunki te sprzyjały pracy umysłowej i pisaniu. Krystyna Żywulska tam właśnie pisała wiersze, pamiętam je do dziś:

Nad Oświęcimiem słońce wschodzi
różową smugą jasną.
Stoimy w rzędzie: starzy i młodzi, a w górze gwiazdy gasną...¹

Lecz pamiętajcie, miliony ludzi
codziennie z jedną myślą się budzi
i maszerując tutaj w gromadzie,
wiedzą o innej defiladzie.
A w duszy ich radośnie śpiewa
wizja przyszłości: lewa, lewa.
[...]

¹ K. ŻYWULSKA: *Apel poranny*. W: F. FRIEDMAN, T. HOŁUJ: *Oświęcim*. Przedmowa W. BARCIKOWSKI. Warszawa 1946, s. 268.

Bo za nasz ból, [...] przyść musi czyn i tylko czyn.²

Krystyna napisała kilka wierszy i zrobiła z koleżankami przedstawienie, które było bardzo piękne. Właśnie wtedy nauczyłam się jej utworów. Dodam, że w jednej z książek Krystyna wspomina o mnie, pisząc: „nasza najmilsza sztabowa”³. Po latach spotkałam ją, poznałam jej rodzinę, ale to już inna historia.

Chcę podkreślić, że praca w bloku i to komando sprzyjały czytaniu. Przywożono i wyrzucano wszystkie rzeczy, które posiadali Żydzi z transportu przeznaczeni do gazu. To był 1944 rok, straszny czas. Niemcy przerwali sojusz i zajęli Węgry. Od maja rozpoczęły się intensywne transporty Żydów z Węgier. Patrzyłam na przywożonych Żydów – matych i dorosłych, patrzyłam na to, bo nasz blok był blisko krematorium. To był główny powód mojej niechęci do przyjazdu do Oświęcimia po latach.

Ludzie z transportu przywozili ze sobą wszystko, co uznali za niezbędne, nikt im na początku drogi do Auschwitz tego nie zabierał. Porzucić to musieli za bramą obozu. I właśnie tam, na ogromnych stosach znajdowało się bardzo wiele książek, bo Żydzi przywozili je ze sobą. Było wiele interesujących pozycji. Sporo literatury żydowskiej, pamiętam doskonale te książki.

Podczas pracy jako sztabowa zaprzyjaźniłam się z jedną francuską Żydówką nazwiskiem Casis. Przebywała w obozie z dwiema córkami: Lisette i Huguette. Moja znajomość z madame Casis i jej córkami trwała ponad dwa miesiące. Szczęśliwie uratowały się z transportu, bo władze obozowe niszczyły Żydów, a je uznano za Francuzki. Mieszkałyśmy blisko siebie, rozmawiałyśmy po francusku i zaproponowałam, by jej córka uczyła mnie tego języka. Dzieliłam się z nimi tym, co dostawałam w paczkach, które do mnie jeszcze wtedy przychodziły. Dzieliłam się zwłaszcza chlebem. Młodsza córka miała czternaście lat i często chorowała. Starłam się ją odwiedzać, bo mogłam swobodnie poruszać się po obozie. Wtedy też uczyłam się francuskiego i czytałam. Nie pamiętam tytułów, ale czytałam książki, które do obozu przywieźli francuscy Żydzi.

Po wojnie starałam się z nimi skontaktować. Kiedy byłam we Francji, dowiedziałam się, że madame Casis i jej córki zmarły.

[...]

Niemcy wysłali do gazu bardzo wielu Żydów. To był koszmar. W pewnym momencie w sierpniu i we wrześniu 1944 roku brakowało miejsca w kremato-

² K. ŻYWULSKA: *Wymarsz w pole*. W: F. FRIEDMAN, T. HOŁUJ: *Oświęcim...*, s. 275.

³ K. ŻYWULSKA: *Przeżyłam Oświęcim*. Warszawa 2004, s. 28. W książce czytamy: „Już nas liczyli. Jakaś aufzejerka, miła blondynka mająca najwyżej 20 lat, przechodziła wolno przed pierwszym szeregiem piątek. Wydawała nam się najłagodniejsza z tych wszystkich, które miały prawo na nas krzyczeć” (tamże).

rium. Na polu obok wykopali wielki dół i zwłoki zagazowanych dawali do tej wielkiej mogiły. Czasami to nie były osoby zagazowane, tylko nieprzytomne. Oni je do tych dołów prowadzili. Nie mogłam na to wszystko patrzeć, choć musiałam, bo mieszkłam w pobliskim baraku. Ten obraz jedynie pogłębił we mnie uraz, jeśli chodzi o Auschwitz. Różnie w obozie było. Był czas, że mogłam się uczyć i czytać książki, ale gdy po latach spoglądam w przeszłość spokojnym wzrokiem, z dystansem, to przede wszystkim widzę obraz tych zagazowanych Żydów. Niszczenie Żydów i Cyganów zapadło głęboko w moją pamięć. Proszę pamiętać, że Cyganie też byli w obozie, mieli specjalny cygański podobóz. A w pewnym momencie władza obozowa postanowiła ich po prostu wykończyć, bo potrzebowano bloków. Przecież było powstanie warszawskie i w tych blokach musiano umieścić między innymi jego uczestników.

Jeśli chodzi o stanowiska Żydów w obozie, warto odnotować, że zaraz po jego powstaniu Żydzi z byłej Czechosłowacji zajęli większość funkcji w Auschwitzu. Byli blokowymi i piastowali inne ważne stanowiska.

[...]

Pamiętam, że któregoś dnia w październiku czy listopadzie 1944 roku przebywałam w bloku i raptem usłyszałam wielki krzyk: „Wszyscy uciekać!”. Nie wiedziałam, co się dzieje. Podskoczyłam do okna, w którym nie było krat, by ci, którzy szli do gazu, myśleli, że idą normalną drogą do normalnego ogrodu. Dopiero w głębi były jakieś domy. Nie było możliwości, by zorientować się, jaki los czeka na końcu ścieżki, wokół której rosta trawka, drzewa, kwiaty. Oni szli do lasu, po prostu do lasu, nie wiedzieli, że las to ich ostatnia droga. Wtedy, w październiku, usłyszałam straszny huk, strzały – to było powstanie w krematorium nr 3. Kilka godzin później, jadąc wózkiem po chleb dla baraku, zobaczyłam obok drugiego krematorium, że wszyscy leżeli na ziemi, ręce mieli na karkach. Potem okazało się, że co dziesiąty został zastrzelony. Byłam naocznym świadkiem tych wydarzeń. Cztery Żydówki, które dostarczyły proch, w grudniu 1944 roku zostały powieszane. Wcześniej po polsku krzyczały: „Niech żyje Polska!”. Niemiec powiedział: „Tak zginie każdy, kto podniesie rękę na państwo i naród niemiecki”. Po latach napisałam o tym do Instytutu Yad Vashem. Przygotowałam informacje dotyczące tego, czego byłam świadkiem. Zburzenie krematorium przedstawiłam w trzech fazach. Są one opisane pod moim nazwiskiem w książce *Żydzi w walce...*⁴. Przez lata nie mogłam pojechać do Oświęcimia, ale opisałam swoje przeżycia. Nie napisałam książki, w której relacjonowałabym zdarzenia i przytaczała wypowiedzi. Robiłam wszystko, by zapomnieć o obozie. Musiało minąć pięćdziesiąt lat,

⁴ *Żydzi w walce 1939–1945*. Red. J. Roszkowski. Wybór J. Roszkowski, J. Diatłowicki. T. 5. Warszawa 2016, s. 169–174. Agencja ATM Media zrealizowała film dokumentalny *Świadek czasu pogardy*. Za ten film reżyser Andrzej Machnowski na VIII Międzynarodowym Festiwalu Filmów Historycznych i Wojskowych w 2017 r. otrzymał wyróżnienie od Europejskiej Sieci Pamięć i Solidarność.

abym nabrała dystansu i żeby się zdecydowała pojechać do Oświęcimia. Pierwszy raz, kiedy przybyłam do obozu, gdy tylko przekroczyłam bramę, musiałam wyjść. Nie mogłam dalej iść.

[..]

Żydówki w obozie były traktowane tak samo jak inne więźniarki, z drugiej jednak strony szły na pewną śmierć. Zdarzały się przypadki, że miały one esesmanów za kochanków. Pamiętam ładną polską Żydówkę, którą wiązały relacje z jednym z głównych esesmanów w obozie. Miała miejsce kiedyś niecodzienna sytuacja. Ona szła z koleżanką Lagerstrasse z jednej strony, a on – postępując się laską, bo kulał – z drugiej strony. I w pewnym momencie, kiedy ten esesman zauważył tę Żydówkę, puścił się biegiem w jej kierunku, tak, że wpadł na nią, by ją objąć. Coś niesamowitego, tyle lat, a ja bardzo wyraźnie pamiętam tę scenę miłosną. Nie przeszkadzało mu to jednak w skazywaniu innych Żydów na śmierć.

W związku z tym, że znałam język niemiecki, pisałam jednej Żydówce listy miłosne do jej ukochanego – to nie był esesman, tylko pomocnik. Pamiętam ją, bo pragnęła być zawsze piękna i robiła wiele zaskakujących wysiłków w tym celu.

Nie jest tajemnicą, że niektórzy korzystali z chwili, bo mieli świadomość, że przyszłość jest niepewna i nieznaną. To byli młodzi ludzie. Wiedzano, że w każdym momencie można się władzom obozowym narazić.

Jednym z najtragiczniejszych moich wspomnień obozowych, z którym długo nie mogłam się uporać, była tzw. selekcja. Przebywałam w obozie od czerwca 1943 roku i wtedy selekcje wyglądały następująco: stoimy wszystkie w rzędach, idą esesman z laską i drugi, który zapisywał numery. I on patrzył, i laską tylko wyciągał z szeregu upatrzoną ofiarę. Wiadomo było, że taka więźniarka idzie na śmierć. Przeżyłam raz taką selekcję. Wiedziałyśmy, że esesmani rozróżniali nas, wiedzieli, która jest Żydówką. Pamiętam, że wyciągnął starszą Żydówkę. Dwa dni trwało, zanim ją wzięli do gazu. Patrzyłam na nią z przerażeniem, bo – mając wyrok śmierci – była bardzo spokojna, rozmawiała z nami, nie robiła żadnych dramatów, chociaż wiedziała, co ją czeka. Zastanawiałam się, co myślała i czuła, jak radziła sobie ze świadomością, że umrze. Wydaje mi się, że ona do końca miała nadzieję, że przeżyje. Że stanie się coś, co ją uratuje, że w ostatnim momencie ocaleje, bo tak też bywało. Ktoś miał iść do gazu i raptem coś się stało, los pisał inny scenariusz. Sama przeżyłam podobne zdarzenie. Był październik, apogeum niszczenia Żydów minęło. Otrzymałyśmy informację, że mamy jechać „na transport”. „Na transport” oznaczało przewiezienie do innego obozu, do innych warunków – nikt z nas tego nie chciał. Wiedzieliśmy, czego spodziewać się w miejscu, w którym przebywaliśmy, znaliśmy obyczaje i esesmanów. Dało się odczuć, że coś się dzieje, gdyż władze obozowe zaczęły palić dokumenty, jakby przygotowywały się do ewakuacji. Choć ja żadnych informacji z zewnątrz

nie miałam, niektóre koleżanki, które utrzymywały znajomości z więźniami, dysponowały jakimś przeciekami, ponieważ mężczyźni nastuchiwali komunikatów radiowych.

Wróćmy do sytuacji związanej z transportem. Kiedy otrzymaliśmy rozkaz, że jedziemy „na transport”, pożegnaliśmy się z koleżankami i ustawiliśmy w rzędach przed blokiem. Było nas dwadzieścia koleżanek. I przyszedł esesman, który pracował w randze kierownika – nie całego obozu, ale jakiejś części. Miał dużo do powiedzenia. Zapytał nas, na co czekamy. Odpowiedziałyśmy, że mamy jechać „na transport”, choć nie wiemy jeszcze, w jakim kierunku. Zapytał, gdzie pracowałyśmy. Odpowiedziałyśmy, że w *Effektenkammer*. Okazało się, że on bardzo nie lubił aufsejerki⁵, Niemki, która zdecydowała o naszym wyjeździe. Kiedy usłyszał, kto nas wysłał „na transport”, stwierdził: „Takie fachowe siły wysyłać na transport? Osoby, które umieją zajmować się odzieżą? To zajęcie jest bardzo ważne, a one mają jechać?”. Kazał nam zamiast „na transport” iść do innego bloku. Tak jak stałyśmy, trafiłyśmy do budynku zaraz za bramą z napisem „Arbeit macht frei”. Do dnia dzisiejszego ten budynek się zachował. Nie wierzyłam, że tak może być w obozie. Spatyśmy w łózkach, zmieniano nam pościel, jadalnia była w innym miejscu, mogłyśmy się często kąpać. To był blok reprezentacyjny. Przyjeżdżającym delegacjom z Czerwonego Krzyża pokazywano właśnie ten blok, bo tam były dobre warunki. Zaczęłyśmy pracować w takim samym *Effektenkammer*, tylko w męskim obozie. Nasz kierownik-esesman zorganizował nam nawet wycieczkę do Birkenau. To też był obóz. W porównaniu z moimi pierwszymi doświadczeniami, kiedy leżałam na ceglach i pierwszy raz rozplakałam się w obozie, to pod koniec warunki bytowe miałam nieporównywalnie lepsze. Właśnie z tego miejsca, z tego bloku wyszłam na Marsz Śmierci 18 stycznia 1945 roku.

⁵ Od niem. *Aufseherin*.